



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisław Kuszewski

Wspomnienie o Magdzie

To wszystko, o czym poniżej, znam z opowiadań Magdaleny ze Sławińskich Kuszewskiej, która od 1954 roku była moją małżonką. Są to relacje niepełne, ponieważ o wojennej przeszłości wspominała niechętnie, czemu dziwić się trudno, bo o przeżyciach tamtego czasu chciała – o ile to możliwe – zapomnieć.

A było to tak. Latem 1939 roku matka Magdaleny, Kazimiera Sławińska z domu Mars, prowadziła duży pensjonat dla dzieci w Rabce. Miała pod opieką dwójkę – pięcioletnią Magdę i starszego od niej syna Wojtka (10 lat). Z ojcem Magdy, Adamem Sławińskim, żyli wówczas w nieformalnej separacji. Adam przebywał w Baranowiczach, gdzie był właścicielem elektrowni.

Po 1 września 1939 roku matka wraz z dziećmi, obawiając się wojny i jej skutków, postanowiła poszukać miejsca, gdzie mogą być bezpieczni. Wyjechali więc przez Kraków do Lwowa, a stąd dalej, szlakiem innych uchodźców z Polski, przedostali się do Rumunii. Następnie zaś do Jugosławii – najpierw do Crkvenicy, a później na wyspę Krk (obecnie Chorwacja). W Rumunii kilka nocy spędzili w domu publicznym, co mała Magda wspominała dobrze, ponieważ pensjonariuszki tego zakładu całą rodzinę otoczyły życzliwą opieką.

Wyruszając w podróż Kazimiera Sławińska zabrała ze sobą pewien zapas kosztowności. Magda nie umiała jednak wyjaśnić, czy zostały skradzione czy też ów skarb matka po prostu zgubiła. Mimo to nadal otaczani byli opieką wszystkich, z którymi dane było im się spotkać.

Crkvenica i Krk – piękne miejscowości nad Adriatykiem – wydawały się być wymarzonym azylem dla rodziny. Wprawdzie ludności miejscowej dawali się we znaki chorwaccy nacjonaści – Ustasze, Polaków jednak pozostawiali w spokoju. Takie eldorado nie miało jednak potrwać długo. Kiedy hitlerowcy napadli na Jugosławię i dotarli na Krk, zaczęli wprowadzać swoje porządki. Matka – Kazimiera wywieziona została do Ravensbrück, brat Wojtek znalazł się w Dachau, a sześciolatnia Magda trafiła do więzienia dla dzieci w Klagenfurcie. Łatwo sobie wyobrazić dramat dziewczynki.

Być może się mylę, wydaje mi się jednak, że dzieje tego szczególnego miejsca (Klagenfurt) nie zostały dotychczas należycie udokumentowane. Sądząc zaś z opowiadań Magdy znalazło się tam około sześciu tysięcy dzieci z różnych zakątków Europy. A zapewne niewiele z nich dożyło końca wojny. Niemcy, na szczęście, bywali przekupni. Toteż kardynał Sapieha odkupił od nich, za złoto, około trzystu dzieciaków. Do Krakowa dotarły oczywiście stłoczone w tzw. bydłowych wagonach. Po drodze Magdę uderzył, czy też pobił, jakiś SS-mann. Skutki zaś tego pobicia miały się ujawnić blisko czterdzieści lat później. W szpitalu przy ulicy Szaserów w Warszawie musiała się poddać operacji guza, który rozrastał się na jej szczęcie.

W Krakowie Magdą zajęła się jej ciotka. Wkrótce znalazł się tam również jej ojciec, który po „wyzwoleniu przez Armię Czerwoną Zachodniej Białorusi” zdołał przedostać się do Generalnej Guberni i właśnie w Krakowie szukał wiadomości o rodzinie. Adam Sławiński był z zawodu inżynierem – agronomek, udało mu się więc otrzymać stanowisko dyrektora gospodarstwa doświadczalnego, stanowiącego własność krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Gospodarstwo mieściło się w Kazimierzy Wielkiej i tutaj właśnie pod opieką ojca Magda miała spędzić kilka kolejnych lat swojego dzieciństwa.

Miejscowość z pozoru była spokojna. Przecież do dworku często zaglądali partyzanci różnych ugrupowań (przede wszystkim AK). Tu zaopatrywali się w żywność, leczyli rannych, niekiedy także przechowywali broń. Magda – bywało – przenosiła meldunki i nie tylko meldunki. Uważano zapewne, że mała dziewczynka narażona jest na mniejsze ryzyko niż ktokolwiek z osób dorosłych. A jeszcze w dworku, aż do końca wojny, ukrywał się Żyd, Adam Pechnik. Oczywiście przyjeżdżali tu również Niemcy, co zawsze wywoływało stan zagrożenia. Zadaniem Magdy było więc obserwować drogi dojazdowe i w razie niebezpieczeństwa wszczynać alarm, co dawało domownikom szansę na zatarcie śladów konspiracyjnej działalności.

Przez długi czas w Kazimierzy Wielkiej udawało się unikać niebezpieczeństw, do dramatu doszło jednak w połowie stycznia 1945 roku. Magda nie umiała dokładnie określić ani daty wydarzenia, ani jego przyczyn. Pamiętała tylko, że krytycznego dnia przed domem pojawili się Niemcy, wszystkich jego mieszkańców ustawili pod ścianą i szykowali się do egzekucji. Strzały faktycznie padły, jednak z innej strony. Mianowicie z pobliskiego lasu, skąd jak spod ziemi wyłonił się oddział radzieckich zwiadowców. Ci szybko zorientowali się w sytuacji, otworzyli ogień i zlikwidowali niedoszłych oprawców. Dlatego Magda później nigdy nie zgodziła się mówić o radzieckiej okupacji, czerwonooarmiści bowiem uratowali jej życie.

Rodzinie w ogóle dopisało szczęście. Matka Kazimiera jakoś przetrzymała obóz w Ravensbrück, brat Wojtek – dzięki pomocy współwięźniów – przeżył pobyt w Dachau. Po wojnie cała rodzina w komplecie znalazła się we Wrocławiu, gdzie ojciec – Adam – został kierownikiem Obwodowego Urzędu Likwidacyjnego.

Można byłoby zatem zakończyć tę opowieść bajkowym: „a potem żyli długo i szczęśliwie”, gdyby nie fakt, że każdy z tej trójki – matka, syn Wojciech, córka Magda, długo musieli później spłacać rachunki za wojenne stresy i poniewierki. Moja teściowa dożyła wprawdzie 69 lat, ale jako osoba schorowana i w istocie niepełnosprawna. Wojtek zmarł na serce w wieku 50 lat. Magda zachorowała na gruźlicę. Kilka lat spędziła w szpitalach i sanatoriach. Zdołała się wprawdzie wyleczyć, jednak już w połowie lat siedemdziesiątych, mając 47 lat, musiała przejść na rentę. Najpierw bowiem nabawiła się silnej nerwicy depresyjnej, a później doszła do tego epilepsja.

Oczywiście nie da się wprost udowodnić, że te jej schorzenia miały bezpośredni związek z dramatami okresu dzieciństwa, wolno jednak domniemywać, że lata wojny musiały na jej zdrowiu i psychice pozostawić głębokie ślady. Zdarzało się np. niejednokrotnie, że zrywała się w nocy ze snu wołając: „Uciekajmy! Gestapo!” Nie cierpiała też niemieckiego języka.

Jak już wspominałem o przeżyciach z okresu wojny opowiadała niechętnie. Nie chciała też np. zabiegać o uprawnienia kombatanckie, ani – tym bardziej – o jakiegokolwiek odszkodowania od Niemców. Uważała, że tego, co przeżyła, nie da się przeliczyć na pieniądze. Zmarła 1 czerwca 2002 roku w wieku 68 lat.

To wspomnienie chciałoby się wszakże uzupełnić pewnym dopiskiem. Jak była już o tym mowa w Kazimierzy Wielkiej, w prowadzonym przez jej ojca gospodarstwie, ukrywał się Żyd, Adam Pechnik. Powszechnie wiadomo, jakie to wówczas pociągało za sobą ryzyko. Adam Pechnik wojnę przeżył, został wziętym adwokatem, ożenił się z wpływową funkcjonariuszką UB. Wyjechali razem do Francji, zapewne dlatego, że musiała mieć ona na sumieniu jakieś grzechy z dziedziny „łamania praworządności” i nie chciała, by ją z nich rozliczano (wyjechali w 1956 roku). Otóż mecenas Adam Pechnik tylko raz po wojnie spotkał się z Magdą. Było to zresztą po śmierci jej ojca i nie zdobył się nawet na to, by po prostu powiedzieć „dziękuję”. A o to, czy mógłby jej w czymś pomóc, rzecz jasna nie spytał. A Magdzie było przykro, gdy dowiedziała się od znajomych, że ten pan, będąc w Paryżu, nie opuszcza żadnej okazji, ażeby o Polsce i o Polakach mówić jak najgorzej. No cóż, nie każdy człowiek, którego się ratuje, jest rzeczywiście człowiekiem.